

W Warszawie: dwa razy Gombrowicz... Błądzić i szukać

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

■ **Czekaliśmy długo. W końcu doszło do premiery. Jarocki – mistrz w interpretowaniu Gombrowicza, inscenizator siedmiu „Ślubów”, specjalista od tkania misternej koronki sztuk, w których biografia miesza się z fragmentami utworów, wziął się za spektakl o Gombrowiczu.**

I co? Niestety, rozczarowanie. Nieopodal tego teatralnego monumentu, w Teatrze Dramatycznym młodzi aktorzy odnaleźli drogę do „Pamiętnika Stefana Czarnieckiego”. Rok Gombrowiczowski zaczyna zbierać żniwo.

Trwające ponad cztery godziny przedstawienie Jarockiego składa się z trzech części. Młody Gombrowicz (Marcin Przybylski), średni (Mariusz Bonaszewski) i stary (Jan Englert). Portret Gombrowicza-artysty, rozwój jego myśli rysowany jest z perspektywy fragmentów utworów. Zaczyna się od tekstów z tomu „Bakakaj”, potem wędrujemy między innymi przez „Ferdydurke”, „Iwonę księżniczkę Burgunda”, „Operetkę” aż po „Przewodnik po filozofii w sześć godzin i kwadrans”. Obfity autokomentarz zawarty w „Dziennikach” stanowi spoiwo. „Ślub” nie pojawia się w tej kompozycji. Ale za to cała struktura spektaklu wzięta jest ze „Ślubu”. Gombrowicz jest jak Henryk odominający swoje życie, zmagający się z formą i bezformiem, tworzący dzieło, zamieniający w dzieło swoją osobę, ja.

Pierwsze dwie części najpierw sprawiają wrażenie „highlightsów”. Złożone ze znanych fragmentów, zamieniają się w gombrowiczowską listę przebojów. Warto grać, reżyserowane elegancko i nie nachalnie, pozostawiają jednak niedosyt. Nie rozumiemy jeszcze, dlaczego Jarocki nie wystawił zwyczajnie jednego z utworów. W części drugiej cierpliwość zostaje nagrodzona i widać już, że zestawione fragmenty tworzą nowy utwór. Ze wzajemnie się oświetlają.

Zaczynając od fragmentu „Dziwictwa” Jarocki prowadzi dyskurs o naturze natury ludzkiej odmiennej od natury natury. W finale spektaklu z ust starego Gombrowicza pada zdanie: „Jest rzeczą przepiękną, że nie jesteśmy naturą”. Zapasy z formą mają swój rytm. Pojawiają się w każdym z fragmentów utworu, gdzie dojrzały Gombrowicz wchodzi w rolę kolejnych protagonistów:

Józia z „Ferdydurke”, księcia Filipa z „Iwony” i Szarma z „Operetki”. To wokół Gombrowicza grają się te sztuki, on jest demiurgiem stwarzającym kolejne światy. W każdej części pojawia się postać będąca uosobieniem zwierzęcego braku formy. Waluś (Grzegorz Małecki), Iwona (Dorota Landowska), Albertynka (Małgorzata Kożuchowska), relacja wysokie-niskie.

Za błyskotliwą chwilami reżyserią nie zawsze nadążają aktorzy. Czasem Jarocki posługuje się ich naturalnym *emploi* i wtedy sztuka rusza ostro z miejsca. Tak dzieje się na przykład w przypadku Łukasza Lewandowskiego grającego Miętusa i Cyryla czy Ignacego Gogolewskiego obsadzonego w roli Konstantego, króla Ignacego i Hrabiego. Świetnie radzi sobie z rozedrganiem dojrzałego Gombrowicza Mariusz Bonaszewski. Ale, niestety, wielu aktorów nie daje rady rozbudowanemu bogactwu ról. Straszna jest cisza w teatrze, kiedy królowa Małgorzata (Ewa Wiśniewska) czyta swoje wiersze i nikt się nie śmieje.

Niedorobione detale zaczynają kruszyć spektakl. Przedsięwzięcie tak rozbudowane okazuje się ryzykowne, zaczyna na naszych oczach więdnąć. Pod koniec części drugiej następuje gwałtowna zmiana tonacji. Dowcip fragmentów dramatycznych ulatnia się błyskawicznie. Na scenie pojawia się Simone Weil (Dorota Landowska). Wchodzimy w część filozoficzną, w serio.

I tu dzieje się rzecz nieoczekiwana. Pierwsze dwie części rozgrywają się w przestrzeni niedookreślonej, symbolicznie znaczonej rekwizytami, tak by nie zburzyć dosłownością i konkretem atmosfery snu Henryka/Gombrowicza. Przestrzenie wyłaniają się z niebytu, tylko na chwilę. Tymczasem w części trzeciej rodzajowość pożera spektakl. Epickość otwiera drzwi banalności.

Przenosimy się do Vence. Jesteśmy w mieszkaniu starego Gombrowicza. Najpierw jeszcze obsesyjny egzamin maturalny, a potem na scenę wkracza Rita Gombrowicz, a właściwie Małgorzata Kożuchowska udająca Ritę. W tej części udawanie staje się zasadą aktorską. Spektakl zaczyna przypominać telenowelę. Za chwilę będziemy świadkami ślubu Witolda i Rity. Przychodzi Dominik de Roux (Grzegorz Małecki), Maria i Bohdan Paczowscy (Syl-

wia Nowiczewska, Bartłomiej Bobrowski). Mer wygłosi po francusku całą (!) formułę ślubną. To daje Witoldowi i Ricie sposobność do wygłoszenia tak zwanych apartów, czyli kwestii na stronie.

Teatr staje się nieomal dziewiętnastowieczny. Białe róże przyniesione na ślub stają się kwiatami pogrzebowymi składanymi w wazonie przy łóżku Witolda. Wykłady filozoficzne nie wyrastają ponad gadaninę. Precyzja reżyserii ustępuje udawaniu

wzięcie otoczyli Piotr Cieślak i Maciej Gaszczyński.

Na scenie dwudrzwiowa szafa. Gaśnie światło, a drzwi szafy oświetla punktowy reflektor. Nic, ale to nic się nie dzieje. Szkolna dziatwa na widowni zaczyna rozrabiać i wtedy z ostatniego rzędu wstaje Stefan (Krzysztof Ogłóza), by uruchomić spektakl. Otwiera szafę, w której siedzą jego rodzice, nakreśla szybką maszynką, która bez sentymentów, w trybie nieomal automatycznym odegra jego życie. Szopka, strasznie czasem śmieszna i okropnie przez to ponura.

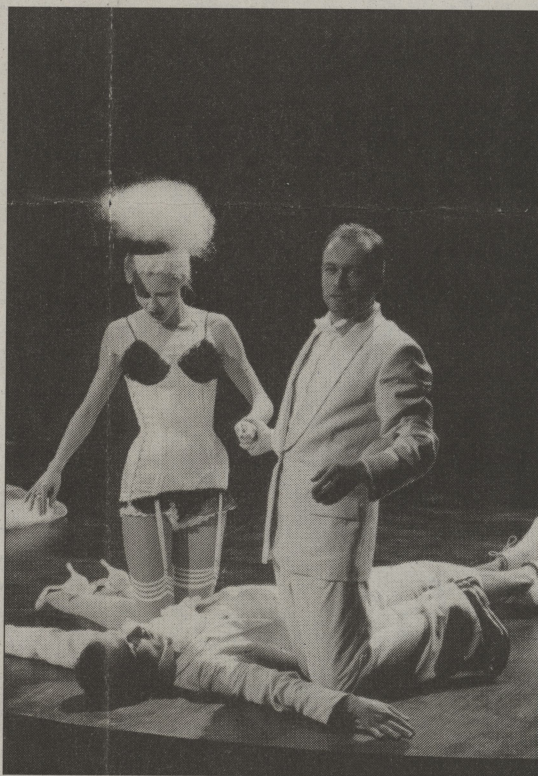
Krótkie opowiadanie z tomu „Bakakaj” porusza temat nie pojawiający się w dramatach Gombrowicza, który w dzisiejszej Polsce jest tematem podstawowym dyskursu. Bohater, Stefan Czarniecki, ma matkę Żydówkę. A więc jest Żydem i jest Polakiem. Piorunujące połączenie dwóch ultrasilnych form. Z niewinnego, małego opowiadania wybucha wielki temat. Aktorzy w Dramatycznym potraktowali go z lekkością i dowcipem, pozwalając każdemu z widzów zauważyć tyle, ile chce. Może to nie do końca skuteczna metoda w przypadku młodzieży szkolnej, ale nadaje spektaklowi wdzięk i uwalnia go od natręctw.

Oddajmy głos Gombrowiczowi: „Zaczynałem powoli dostrzegać, że ten świat żydowski wszczepiony w świat polski ma niezwykle rozsadzające znaczenie – i że to jedna z największych szans naszych na wypracowanie nowego gatunku Polaka o formie nowoczesnej, zdolnej sprostać teraźniejszości, Żydzi byli tym, co nas łączyło z najgłębszą, najtrudniejszą problematyką świata”. Może właśnie to jest dzisiaj w Polsce do myślenia? Wdzięczność za podniesienie tematu należy się aktor-kiemu ansamblowi z Dramatycznego.

Które przedstawienie wolałby Gombrowicz? Czy pomnik wzniesiony na jego cześć na narodowej scenie, czy drobiazg w Dramatycznym? Nie wiadomo, ale czuję, że poszedłby tam, gdzie profesor Pimko powiedziałby, że „nie zachwyca”.

„BŁĄDZENIE” według Witolda Gombrowicza, adaptacja i reżyseria: Jerzy Jarocki, scenografia: Andrzej Witkowski, muzyka: Stanisław Radwan, prapremiera w Teatrze Narodowym, Scena Przy Wierzbowej, 29 maja 2004.

„PAMIĘTNIK” według opowiadania Witolda Gombrowicza „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego”, reżyseria: zespół przy współpracy Piotra Cieślaka i Szymona Gaszczyńskiego, muzyka: Maciej Makowski, premiera w Teatrze Dramatycznym m. St. Warszawy 24 kwietnia 2004.



Małgorzata Kożuchowska, Marcin Przybylski i Mariusz Bonaszewski w „Błądzeniu”

właśnie. Trudno uwierzyć, że opowieść o artyście tak bardzo uwikłanym w sprawę formy rozlewa się na boki jak rozpuszczające się lody. Trudno uwierzyć, że Jerzy Jarocki nie znalazł lepszej drogi do tekstów filozoficznych i starości pisarza. Ten teatr jest stary i kiedy wypada z żelaznej struktury Gombrowiczowskich utworów, staje się nie do wytrzymania.

Skromny „Pamiętnik” grany na małej scenie Dramatycznego został wyreżyserowany przez zespół aktorski. To rzadka rzecz w polskich teatrach, w których trudno wzbudzić zapał artystów do samodzielnych działań. Opieką reżyserską przedsię-